

Zima stulecia. Było, minęło...

3 stycznia 2016

Przyszła zima. Najpierw spadł śnieg przysypując znany nam, dzieciakom, pobliski świat półmetrową pierzyną puchu, a później chwycił siarczysty mróz i trzymał w swych srebrzystych, stalowych okowach wiele tygodni. Słupek rtęci na termometrach ustabilizował się poniżej dwudziestu, a nocami trzydziestu stopni Celsjusza.

Pamiętam, że w naszym domu szyby stały się całkiem nieprzejrzyste, zamalowane pięknymi mrozowymi kwiatami. W każdym oknie pojawiło się prawdziwe dzieło sztuki; groźne, zimne piękno, jakie stworzyć może tylko natura. Nawet drzwi wejściowe przemarzły całkiem i zawsze lśniące lakierem dębowe deski, skrzyły diamentami szronu.

Tę zimę z początku lat sześćdziesiątych pamiętam szczególnie dobrze nie tylko dlatego, że nazwano ją zimą stulecia. Jako trwała pamiątka pozostały mi odmrożone ręce, ale najważniejsze, że po feriach nie trzeba było jeszcze iść do szkoły. Minister oświaty odwołał zajęcia do czasu ustąpienia mrozów. Za to kochaliśmy towarzysza ministra.

W szkole oprócz niewątpliwej przyjemności ciągnięcia dziewczynek za warkocze, strzelania z gumek papierowymi haczykami do kolegów i podkładania pinezek na krzesła pani będącej wyjątkowo obfitym w kształtach ciałem pedagogicznym, można było dostać dwóję lub oberwać piórnikiem po łapach.

Dla zapobiegliwych łapobicie nie było takie straszne, jeśli uprzednio porządnie wysmarowało się dłonie cebulą. Najgorsza była uwaga w dzienniczku lub wypędzenie do domu po kogoś z rodziców. Wtedy, na większej powierzchni ciała, cudowne właściwości cebuli mogły zawieść. Każdy więc cieszył się z niespodziewanej laby i nikt nie tęsknił za szkołą. No, może tylko Anka skarżypyta.

Trzaskające mrozy i zawieje śnieżne, będące wielkim utrapieniem dorosłych, dla nas, dzieciarni, nie były żadną zmorą. Rano posmarował człowiek pajdę chleba smalcem ze skwarkami, złapał sanki zrobione przez tatę lub dziadka i hajda na dwór.

Ktoś mógłby pomyśleć, że na mazowieckiej równinie nie ma warunków do uprawiania sportów zimowych. Nic bardziej błędnego. Pomysłowość młodzieży w urządzaniu kuligów była niezwykła. Od czego w końcu przygodne furmanki i z rzadka przebijające się przez zasy ciężarówki?

Czatowaliśmy na pojazd, który musiał jeszcze bardziej zwolnić przed skrzyżowaniem na lodowej tafli jezdni. Nikt nie sypał soli i piasku na nasze wyboiste drogi szumnie zwane ulicami. Czasami tylko jakaś gospodyni rozsypała popiół, który powoli nikną pod warstwą nawiewanego śniegu. Podczas dłuższego oczekiwania palce grabiały jak u nieboszczyka, a nos, szczególnie zaś okolice pod nosem, zamieniały się w sopel.

– Wreszcie jest – kilka szybkich susów i przeciągało się sznurek za jakiś hak, belkę, cokolwiek i wskakiwało na sanki. Koniec sznurka trzeba było mocno trzymać w ręku. W razie niebezpieczeństwa wystarczyło sznurek puścić i sanki zatrzymywały się hamowane tarciem buciorów o ubity śnieg. Ale czy urwisy przewidywały jakieś niebezpieczeństwo oprócz tego, że można było dostać batem od woźnicy lub być popędzonym przez szofera?

Oczywiście zdarzały się różne, na szczęście niegroźne wypadki, czasem ktoś postradał sanki. A kto już zaliczył w domu lanie za uczestnictwo w niebezpiecznych zabawach, ten wędrował na górkę koło stacji PKP w Gołąbkach.

Ten widok przypominam sobie z nostalgią: jakieś kubraki wiatrem podszyte, a spod nich wystające kolorowe sweterki zrobione przez babcię, czapki pilotki, pod którymi i tak marzły uszy, ciężkie buty po starszym bracie, sine ręce,

purpurowe buzie. Wśród tej ruchliwej, rozwrzeszczanej dzieciarni uganiał się czyjś kundelek i czekał wesoło.

To były szczęśliwe, ale biedne lata. Nie każdy miał sanki, toteż niektórzy szusowali z górki tylko na butach, inni na kartonach z pobliskiego kiosku spożywczego. Głupi Pepik, który w szkole jadł kredę i popijał atramentem, choć miał sanki, zjeżdżał na rowerze. Ciągłe się przewracał i był oblepiony śniegiem jak bałwan. Koza natomiast przytaszczył starą, ogromną miednicę.

Koza był kolegą z klasy. Śmiał się z byle czego i śmiech ten był rechotem kozła, a kiedy w szkole oberwał po łapach, to już było prawdziwe kozie beczenie. Miednica Kozy wzbudzała ogromne zainteresowanie. Okazała się nawet lepszym pojazdem niż sanki. Ktoś na szczycie górki wprowadzał miche w ruch obrotowy i pasażerowi, nim osiągnął podnóże wzniesienia, zdążyło się nieźle zakręcić w głowie. Wyłaząc z wielkiego naczynia chwiał się i zataczał jak pijaczyna po kilku głębszych.

Na stację podróży wchodził po schodach i przechodził pomostem nad kilkoma nitkami torów. Niektórym łobuziakom nie wystarczała górka, toteż dla draki zjeżdżali z ogromnym łoskotem po oblodzonych schodkach. Taki zjazd wymagał sporej odwagi i umiejętności. Można było zahaczyć o siatkę zabezpieczającą i dotkliwie potłuc.

Jazda w okrągłej miednicy eliminowała, jak się wydawało, ryzyko, ale i tak nie było chętnych. Na szczęście trafił się Karol. Właściwie miał inaczej na imię, ale Karol lepiej do niego pasowało i przyłgnęło na stałe. Chociaż nigdy nie powtarzał klasy, to jednak ze względu na upośledzenie umysłowe powinien raczej chodzić do szkoły specjalnej. Zawsze uśmiechał się głupkowato i zawsze bezkrytycznie wykonywał wszystkie polecenia kolegów. Pamiętam, że w którejś z ostatnich klas podstawówki chłopaki namówili Karola, aby włożył łapsko pod spódnicę nowej, młodziutkiej nauczycielki i on to bez wahania zrobił. Dostał tak w japę, że mu poleciała krew z nosa.

Obwiesie, urwipołcie skręcali się ze śmiechu, a biedny Karol stał z tym swoim niezmiennym głupkowatym uśmiechem i wcale nie rozumiał za co oberwał.

– Przecież Anka skarżypyta donosiła wychowawczyni o wszystkim, o najmniejszej nawet psocie, ale nigdy, że Karol wkładał jej rękę pod sukienkę!

Teraz też biedny chłopak nie potrafił odmówić. Na szczycie schodów padł krótki rozkaz:

– Karol, włącz do michy!

Karol bez wahania wgramolił się do miednicy i rozsiadł wygodnie. Ktoś rozpędził miednicę z zawartością jeszcze na pomoście i... rududu z ogromnym, metalicznym dudnieniem na dół. Micha z każdym stopniem nabierała coraz większego rozpędu, aż znalazła się na poziomym podeście i z dużą prędkością poszybowała już nad dolną partią stopni, opadając łukiem na oblodzoną, wydeptaną ścieżkę. Łup! Karol aż wyrznął czołem w zgięte kolana i spadła mu czapka. Miednica zaś wpadła w ruch obrotowy i odbijając się na nierównościach terenu jak kaczką rzuconą na taflę wody, traciła z wolna impet i zatrzymała się ze zgrzytem w miejscu, gdzie akurat wysypano popiół. Chłopak siedział nieruchomo z wybałuszonymi szeroko oczami i nadal kurczowo trzymał się rantu miednicy. Żądni sensacji otoczyliśmy pojazd szerokim kołem, jakby nagle wylądowało UFO. Najbardziej niezwykle było to, iż Karol się nie uśmiechał. Tak było to niewiarygodne, że zapadło całkowite, trwożne milczenie.

– Andrzej, co ci jest? – zapytał ktoś z przejęciem, używając jego prawdziwego imienia.

– Nic, tylko dupa mnie boli – głośno jęknął i na jego buzi zawitał uśmiech.

Okrzyk radości wyrwał się z wielu gardeł, a Karol nawet w dowód uznania został poczęstowany papierosem przez jednego ze

starszych chłopaków. Wyrostki przyglądały się wszystkiemu z boku, bo po ukończeniu podstawówki uważali się już za dorosłych. Nie wypadało im jeździć na sankach z dziećmi.

Oczywiście nie sposób było wytrzymać cały dzień na dworze. Dlatego co jakiś czas biegaliśmy na stacyjną poczekalnię, aby ogrzać się przy gorącym piecu kaflowym. Gdzieś koło południa piekarz przywoził swoim furgonem pieczywo do kiosku pani Miłoszewskiej. Sprzedawczyni chętnie dawała gorące jeszcze bochenki dzieciakom na kredyt. Na drugi dzień matki płaciły za chleb przy codziennych zakupach.

Jakiż to był pyszny chleb! Odrywaliśmy całe parujące kawały i ucztowaliśmy w poczekalni. Najlepsza była rumiana, chrupiąca skórka. Chyba już nikt nie piecze tak wspaniałego chleba. Współcześni piekarze paprzą pieczywo w nowoczesnych zagranicznych piecach, sypią do ciasta jakieś chemiczne świństwo, tzw. ulepszacze decydujące o złej jakości pieczywa i już na drugi dzień nie nadaje się ten surogat chleba do spożycia. Wtedy jednak najadaliśmy się samym chlebem do syta, a i dla zziębniętego, wygłodniałego ptactwa zostało co nieco.

Codziennie na górze było rojnie i gwarno. Dopiero kiedy słońce okryte lekką, mroźną mgiełką na linii horyzontu zamieniało się w ogromną czerwoną kulę, a śnieżne czapy na dachach odległych domostw i oszronione drzewa od krwawej łuny przybierały odcień purpury, robiło się cicho i spokojnie. Mróz tężał gwałtownie. Przemoczone rękawiczki sztywniały, a mokre nogawki portek zamieniały w dwie blaszane rynny. Wtedy po głośno skrzypiącym śniegu, jak po drobinach rozbitego szkła, umykaliśmy do domów.

Dopiero w cieple czuć było znużenie po dniu pełnym przygód. Po zjedzeniu pełnego talerza pysznej kartoflanki i niezbyt starannym umyciu wskakiwało się pod pierzynę. Ktoś gasił światło. Obserwując na ścianach i suficie ruchliwe języczki ognia odbijającego się ze szczelin nie domkniętych drzwiczek pieca lub od fajerek kuchni, największy nawet huncwot przybierał minę cherubinka i zasypiał.

W nocy żarzące się węgle przygasały i robiło się coraz zimniej, aż nad ranem woda w wiadrze pokrywała się cienką warstewką lodu. Rano, gdy ogień znowu wesoło trzaskał pod kuchnią, nie bardzo chciało się wychodzić z łóżka, ale chęć nowych przygód była silniejsza.

Jednak nie tylko myśleliśmy o psotach i przygodach. W te ciężkie zimowe dni wystawialiśmy własnoręcznie zrobione karmniki dla ptaków. Chodziliśmy dokarmiać sarny, kuropatwy i zające, które nie mogły wygrzebać sobie nic do jedzenia spod grubej warstwy śniegu. Ta dzika zwierzyna podchodziła bliżej siedzib ludzkich, jakby szukając ratunku. Stada kuropatw biegały po ulicach osady nie bojąc się ludzi, a w naszej komórce nocowały zające znajdujące schronienie przed zimnem i lodowatym wiatrem. Jedynym zagrożeniem dla tych zwierząt były wałęsające się psy. Pomagaliśmy też ludziom starszym. Robiliśmy im zakupy, przynosiliśmy wodę ze studni, rąbaliśmy drewno.

Oczywiście bez kawałów i psikusów żyć się nie dało. Były naszym chlebem codziennym. Kiedyś wieźliśmy na sankach kapustę i marchew do paśnika na śnieżną pustynię pól. Przechodząc przez przejazd kolejowy namówiliśmy Lejka, który słynął z łakomstwa, by dotknął językiem szyny. Lejek potrafił zsikać się w portki jeszcze w czwartej klasie, więc przezwisko było adekwatne i przyłgnęło do niego na stałe. Chłopak czuł podstęp, ale kiedy Rajtuz pomachał mu przed nosem lizakiem, uległ pokusie. Ukląkł w śniegu, wywalił jęzor i dotknął gładkiej jak lustro powierzchni. I nagle zaczął coś niezrozumiale bełkotać, wymachiwać łapami i przebierać nogami, rozbryzgując buciorami śnieg dokoła.

Wtem dało się słyszeć ciche cyknięcie. Jedno, chwilę później drugie. Wiedzieliśmy, co to oznacza i tak gwałtownie jak zaczęliśmy się śmiać, twarze zmieniły grymas, wyrażając przerażenie. Lejek też znał dobrze ten charakterystyczny dźwięk, jaki wydają tory, gdy zbliża się pociąg. Nikt nie zwracał uwagi, że na portkach Lejka coraz bardziej powiększa

się ciemna plama, a śnieg pod Lejkiem żółknie. Trzeba było coś zrobić. Natychmiast. Rajtuz wyjął scyzoryk, chcąc oddzielić pechowy ozór od szyny. Dróżnik biegł już w naszym kierunku, wrzeszcząc coś groźnie i wyklinając. Nie zastanawiałem się, tylko złapałem nieszczęśnika za nogi i mocno szarpnąłem. I właśnie wtedy, gdy zza pobliskiego zakrętu wyskoczył pośpieszny trąbiąc przeciągle, oderwałam Lejka od szyny.

Pociąg z łoskotem przemknął unosząc gęsty tuman śnieżnej kurzawy. Nie czekaliśmy. Złapaliśmy sanki i chodu w pola, w zasy, by nie dopadł nas rozwścieczony kolejarz.

A Lejek? Lejek oczywiście dostał swojego lizaka, ale nie bardzo miał go czym lizać. Na szynie został kawałek skórki z jego języka. Dlatego zamiast lizaka ssał śnieg, aby zatrzymać krwawienie. Jeszcze przez kilka dni seplenił, ale niegroźna rana zagoiła się szybko.

Niedługo po tym wydarzeniu mróz odpuścił i wkrótce przyszła odwilż. Znowu musieliśmy chodzić do szkoły. Znowu klasówki, czasem piątka, czasem dwójka i czasem oberwało się linijką. Życie wróciło do normy. Tylko już nie pamiętam, czy więcej łez leciało, kiedy smarowałam dłonie cebulą, czy też kiedy dostawałam po łapach.

Kilka lat temu, wybrałam się w okolice swoich dziecięcych zabaw. Osada zamieniła się w dzielnicę willową. Wszędzie asfalt, piękne domy złodziei zajmujących różne wysokie stanowiska w Warszawie.

Na stacji tętniącej niegdyś życiem cicho, brudno, smrodliwie. Z poczekalni została ponura ruina. Piec rozbity, a w miejscu, gdzie stały kiedyś wygodne ławki – sterczą betonowe kikuty. Ani jednej szyby. Wszędzie wypisane wulgaryzmy, które już nikogo nie rażą. Przecież nowa generacja porozumiewa się używając kloaki.

Na wschód od stacji zaczynają się ruiny fabryki traktorów w Ursusie. To była jedna z największych i najlepszych fabryk

ciągników na świecie. Nasze traktory szły na eksport do 56 krajów świata, a polscy rolnicy po uiszczeniu przedpłaty, czekali na te wspaniałe maszyny 2-3 lata. One do dziś jeszcze jeżdżą na polskich polach, bo na nowy zagraniczny drogi sprzęt, rolnik musi brać kredyt, i tak staje się niewolnikiem żydowskiego banku.

Ponieważ nasze ciągniki cieszyły się dobrą marką na całym świecie, fabryka się dynamicznie rozbudowywała, aż nadeszła „demokracja”. Stojący na jej czele zbrodniarze nowego typu, na rozkaz Sorosa zamordowali tysiące fabryk w Polsce. Ursus oczywiście podzielił los innych zakładów.

Dziś ta fabryka wygląda jak po wybuchu bomby atomowej. W epicentrum pustynia, bo tu już wyburzono hale pod budowę nowego osiedla, którego właścicielem będą banki. Wokół epicentrum ruiny pozostałych jeszcze hal. Księżycowy krajobraz. Ostała się jeszcze „Energetyka Ursus”, którą zarządza synalek prezydenta Szoguna. Młody Komorowski, podobnie jak tatuś, nie cieszy się tu dobrą sławą.

Znowu przyszła zima, a tu śniegu ni ma. Nie ma też prawie dzieci, nie słychać nigdzie wesołych krzyków i śmiechu małych urwisów, bo przyrost naturalny jest ujemny. Wspomnienia w zetknięciu z rzeczywistością stają się jakieś zamglone, nierealne. Jak sen z dziecięcych lat. W sercu zakłuła jakaś igiełka. Mocno zakłuła. No cóż – było, minęło. Przyszło nowe, lecz nie zdrowe.

Autorstwo: Cezary Piotr Tarkowski

Źródło: Wolna-Polska.pl